Jorge Luis Borges

Dwa eseje : Sztuka znieważania ; Nasz biedny indywidualizm

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (44), 88-97

1979

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

Jorge Luis Borges

Dwa eseje

Sztuka znieważania

Dogłębne i namiętne studiowanie rozmaitych gatunków literackich doprowadziło mnie do przekonania, że ośmieszanie i drwina mają z pewnością jakąś większą wartość. Napastnik (mówiłem sobie) wie, że napastowany będzie on sam i że „każde słowo, jakie wypowie, będzie mogło być użyte przeciwko niemu", według uczciwej przestrogi stróżów porządku ze Scotland Yardu. Obawa ta będzie go zmuszała do specjalnej ostrożności, z jakiej zazwyczaj rezygnuje w innych, wygodniejszych, okolicznościach. Będzie pragnął być nietykalnym i na określonych stronicach mu się to uda.

Być nietykalnym

Porównanie słusznego oburzenia Paula Groussaca i jego mętnych panegiryków — by nie powoływać się na analogiczne przypadki u Swifta, Johnsona i Woltera — zesłało na mnie i utwierdziło takie właśnie przekonanie. Rozwiało się jednak ono, gdy zaniechałem przyjemnej lektury tych drwin, by zająć się wyodrębnieniem wspólnej im metody.

Natychmiast spostrzegłem jedną rzecz: podstawową słuszność i nieznaczną omyłkę mojego przypuszczenia. Autor drwin rzeczywiście postępuje ostrożnie, ale jest to ostrożność szulera, który godzi się z fik-

cyjnością kart, z ich skażonym niebem o konstelacjach dwugłowych osób. Trzy króle rządzą w pokerze, ale nic nie znaczą w *el truco*. Polemista jest niemniej konwencjonalny. A poza tym już uliczne recepty obelg dostarczają ilustrującej *maguette* tego, czym może być polemika. Człowiek z rogu ulic Corientes i Esmeralda podejrzewa o tę samą profesję matki wszystkich bliźnich lub wysyła ich do pewnego ogólnikowego miejsca, które ma kilka nazw, lub naśladuje pewien ordynarny dźwięk — a niemądry konwencjonalizm każe, by obraza dotknęła nie jego, lecz słuchające i milczące audytorium. Nawet nie są potrzebne tu słowa. Włożenie kciuka do ust lub dotknięcie ściany (Sampson: *I will take the wall of any man maid of Montague's.* Abram: *Do you bite your thumb at us, sir?)* było, około 1592 roku, legalną monetą prowokatora w podrabianej Weronie Szekspira i w piwiarniach, lupanarach i arenach walk niedźwiedzi w Londynie. W szkołach rolę tę pełni pokazanie języka i granie na nosie.

Niemądry konwencjonalizm

Inną bardzo rozpowszechnioną obelgą jest określenie *pies*. W 146 nocy *Księgi tysiąca i jednej nocy* ciekawi mogą dowiedzieć się, że syn lwa został zamknięty w kufrze bez wyjścia przez syna Adama, który gromił go tymi słowami: *Los pokonał cię i nie pomoże ci twoja przebiegłość, ty psie pustyni.*

Ty psie (pustyni)

Umowny alfabet obelg ogranicza również polemistów. Tytuł *pan,* opuszczany z braku uwagi czy grzeczności w mowie ludzkiej, staje się obraźliwy, gdy pojawi się drukiem. Tytuł *doktor* stanowi również unicestwienie. Wspomnieć o sonetach *popełnionych* przez *doktora* Lugonesa oznacza na zawsze je potępić, odrzucić każdą ich metaforę. Przy pierwszym użyciu tytuł *doktor* znika półbóg i pozostaje próżny argentyński gentleman, noszący celuloidowe kołnierzyki, golący się co drugi dzień, który może umrzeć na astmę. Pozostaje zasadnicza i definitywna nieważność jakiejkolwiek istoty ludzkiej.

Ale sonety pozostają również, wraz ze swoją muzyką, która może czekać. (Pewien Włoch, aby przejść do porządku dziennego nad Goethem, zdobył się na krótki artykuł, w którym nie przestaje tytułować go *il signore Wolfgang*. Było to niemal pochlebstwem, gdyż równało się nieznajomości rzeczywistych argumentów przeciwko Goethemu).

Popełnić sonet

Popełnić sonet, zdobyć się na artykuł. Język jest repertuarem tych wygodnych zniewag, które stanowią podstawę kontrowersji. Powiedzieć, że jakiś literat wypchnął książkę, wysmażył ją czy wymamrotał, to bardzo łatwa pokusa; lepiej wypadają czasowniki biurokratyczne czy sklepikarskie: załatwić, nadać bieg, sprzedać. Te oschłe słowa łączą się z innymi, wylewnymi i przeciwnik zostaje zawstydzony raz na zawsze. O pewnym licytatorze, który był poza tym deklamatorem, ktoś powiedział — było to nie do uniknięcia — że energicznie kładzie pod młotek *Boską komedię*. Epigram ten nie jest zachwycająco pomysłowy, ale typowy jest jego mechanizm. Chodzi tu (jak we wszystkich epigramach) o zwykły błąd polegający na przemieszczeniu pojęć. Wyrażenie *kłaść pod młotek* (wzmocniony przysłówkiem energicznie) daje do zrozumienia, że krytykowany pan jest niepoprawnym i ordynarnym licytatorem i że jego zainteresowanie Dantem jest brednią. Słuchacz przyjmuje ten argument bez wahania, gdyż nie podaje mu się go jako argumentu. Gdyby sformułować go właściwie, nie dałby mu wiary. Po pierwsze, deklamować i licytować to zajęcie pokrewne. Po drugie, dawne powołanie deklamatorskie mogło doradzić mu przyjęcie pracy licytatora, gdyż i tu mogła mu się przydać umiejętność przemawiania do licznej publiczności.

Dowolne przestawianie pojęć

Jedną z tradycji satyry (nie gardził nią ani Macedonio Fernández, ani Quevedo, ani George Bernard Shaw) jest dowolne przestawianie pojęć. Zgodnie z tą słynną receptą lekarz oskarżany jest nieuchronnie o szerzenie zarazy i śmierci; notariusz o kra-

dzież; kat o pozytywny wpływ na długowieczność; pomysłowe książki o zanudzanie i usypianie czytelnika; Żydzi — tułacze o osiadły tryb życia; krawiec o nudyzm; tygrys i kanibal o to, że nie darują życia rabarbarowi. Pewnym wariantem tej tradycji jest niewinne powiedzenie, które udaje czasami, że przyjmuje to, co właśnie unicestwia. Na przykład: *Pełne chwały łóżko polowe, pod którym generał wygrał bitwę.* Albo: *Uroczy, ostatni film pomysłowego reżysera René Claira. Kiedy nas obudzono...*
Inną metodą dającą dobre wyniki jest nagła zmiana: *Młody kapłan Piękna, umysł skąpany w helleńskim świetle, subtelny, prawdziwy człowiek ze smakiem* (*mysim*). Podobnie ów andaluzyjski kuplet, który w jednej sekundzie przechodzi od informacji do ataku:

Dwadzieścia pięć drążków
Ma ten stołek.
Czy chcesz bym go połamał
O żebra twoje?

Dowieść i przekonać

Podkreślam formalną stronę tej gry, uparte przemycanie argumentów z konieczności mętnych. Rzeczywiście bronić jakiejś racji i nie szczędzić kpiarskiej przesady, fałszywej litości, złudnych ustępstw i cierpliwej pogardy nie są to nie dające się pogodzić czynności, ale tak różnorodne, że nikt ich dotąd nie połączył. Szukam sławnych przykładów. Gdy Paul Croussac postanowił unicestwić Ricarda Rojas, to jak to robił? Tak jak to cytuję, rozsmakowali się w tym wszyscy literaci Buenos Aires. *Tak więc, na przykład, po wysłuchaniu z rezygnacją dwóch czy trzech fragmentów pretensjonalnej prozy pewnego zbioru notatek publicznie oklaskiwanego przez tych, którzy zaledwie go otworzyli, czuję się upoważniony nie iść dalej, ograniczając się, chwilowo, do spisu rzeczy czy indeksu owej obfitej historii tego, co organicznie nigdy nie istniało. Mam na myśli zwłaszcza pierwszą i najbardziej niestrawną część tej*

Sławny przykład

papki (która zajmuje trzy z czterech tomów): bełkot Indian czy Metysów... Groussac, w tym doskonałym przykładzie złego humoru, dopełnia najbardziej drobiazgowo obrządku gry satyrycznej. Udaje, że błędy przeciwnika sprawiają mu ból *(po wysłuchaniu z rezygnacją)*; pozwala dostrzec przejaw nagłego rozdrażnienia (najpierw określenie *zbiór notatek*, potem *papka*); posługuje się pochwalnymi epitetami przy ataku (owa historia *obfita*), a w końcu prowadzi już grę otwartą. Nie popełnia błędów w składni, która jest skuteczna, lecz w argumencie, na który się powołuje. Potępiać książkę ze względu na jej rozmiar, insynuować, że nikt nie pokusi się o przeczytanie tej cegły i w końcu głosić obojętność w stosunku do bredni jakichś Indian i Metysów to godne jakiegoś prostaka, a nie Groussaca.

Zacytuję inny sławny przykład surowej oceny tego pisarza: *Byłoby nam przykro, gdyby okoliczność wystawienia na sprzedaż argumentacji doktora Piñéro stanowiła poważną przeszkodę w jej rozpowszechnieniu i gdyby ten smaczny owoc półtorarocznych wędrówek dyplomatycznych wywołał „wrażenie"* [1] *jedynie w Wydawnictwie Coni. Tak się nie stanie, z pomocą boską i nie spełni się to smutne przeznaczenie, przynajmniej o ile to od nas zależy.* Znowu aparat litości, znowu diabelska składnia. Znowu cudowna banalność zarzutów: naśmiewanie się z niewielu zainteresowanych, jakich może pozyskać dzieło, i z powolnej nad nim pracy.

Diabelska składnia

Elegancka obrona podobnych miernot może się powoływać na mroczne źródło satyry. Ta (według najnowszych opinii) wywodzi się z magicznych przekleństw powodowanych gniewem, nie zaś z przemyśleń. Jest reliktem niewiarygodnego stanu, w którym przekleństwo pod adresem imienia miało spa-

[1] W oryginale gra słów niemożliwa do przełożenia. *„Impression"* znaczy wrażenie i jednocześnie druk *(przyp. tłum.)*.

dać na noszącą je osobę. Aniołowi Satanail, zbuntowanemu pierworodnemu synowi Boga, którego czcili bogomolcy, odjęto cząstkę *il*, która zapewniała mu koronę, chwałę i dar widzenia przyszłości. Jego obecną siedzibą jest ogień, gdzie jest on gościem gniewu Wszechmocnego. Kabaliści opowiadają odwrotnie, że nasienie Abrama było jałowe do czasu, aż włączono do jego imienia literę *he*, która uczyniła go zdolnym do płodzenia.

he, he

Swift, człowiek przesycony szczególną goryczą, powziął zamiar spotwarzenia rodzaju ludzkiego w kronice podróży kapitana Lemuela Gulliwera. Pierwsze z nich — podróże do maleńkiej republiki Liliput i do olbrzymiej Brobdingnag — są tym, z czym godzi się Leslie Stephen: antropometrycznym snem, który nie dotyka zupełnie złożoności naszej istoty, jej ognia i jej algebry. Trzecia, najzabawniejsza, kpi z poznania doświadczalnego przy pomocy znanego procesu inwersji: absurdalne gabinety Swifta pragną rozpowszechnić owce bez wełny, używać lodu do produkcji prochu, zmiękczać marmur na poduszki, kuć ogień na cienkie blaszki i wykorzystywać odżywcze części fekaliów. (Księga ta zawiera również mocną stronicę na temat niedogodności wieku starczego). Podróż czwarta, ostatnia, pragnie wykazać, że zwierzęta są więcej warte niż ludzie. Ukazuje cnotliwą republikę mówiących koni, żyjących w monogamii, z proletariatem złożonym z czworonożnych ludzi, którzy żyją stadnie, ryją ziemię, ssą wymiona krów, aby kraść mleko, wydalają swoje ekskrementy na drugich, żrą padlinę i cuchną. Jak widać, fabuła ta nie osiąga swojego celu. Reszta jest literaturą, składnią. W konkluzji mówi: *Nie jest mi obmierzły widok adwokata, złodzieja, pułkownika, głupca, lorda, szulera, polityka, łotra.* Niektóre słowa, w tym dobrym wyliczeniu, są skażone sąsiednimi.

Absurdalne gabinety Swifta

Dwa ostatnie przykłady. Jednym jest sławna parodia zniewagi, którą, jak podają, zaimprowizował doktor

Parodia zniewagi

Johnson. *Pana małżonka, pod pretekstem, że pracuje w domu publicznym, trudni się sprzedażą towarów z przemytu.* Innym jest najwspanialsza obelga, jaką znam: obelga tym bardziej szczególna, jeśli zważymy, że jest ona jedynym otarciem się jej autora o literaturę. *Bogowie nie dopuścili, żeby Santos Chocano zhańbił szafot umierając na nim. Żyje więc, chociaż nużył nikczemność.* Zhańbić szafot.

Nużyć nikczemność

Nużyć nikczemność. Za pośrednictwem znakomitych uogólnień piorun ciśnięty przez Vargasa Vilę wyklucza jakąkolwiek znajomość z pacjentem, zostawia go nietkniętym, niewiarygodnym, zupełnie drugorzędnym i przypuszczalnie niemoralnym. Wystarczy najbardziej przelotna wzmianka o imieniu Chocano, aby ktoś odtworzył obelgę, zaćmiewając złośliwym blaskiem wszystko, co się do niego odnosi — nawet szczegóły i przejawy tej nikczemności.

Postaram się streścić poprzednie ustępy. Satyra jest nie mniej konwencjonalna niż jakiś dialog między narzeczonymi czy jakiś sonet wyróżniony pochlebną opinią przez José Maria Monnera Sansa. Jej metodą jest wprowadzenie sofizmatów, jej jedynym prawem równoczesne wymyślenie dobrego figla. Zapomniałbym o jeszcze jednym: powinna poza tym być godna zapamiętania.

Kilka słów na temat pewnej męskiej repliki, o jakiej wspomina De Quincey (*Writtings*, jedenasty tom, s. 226). Pewnemu gentlemanowi, podczas jakiejś dyskusji teologicznej czy literackiej, wylano w twarz szklankę wina. Zaatakowany odpowiedział napastnikowi bez wzruszenia: *To była, mój panie, dygresja; czekam na argumenty.* (Autor tej odpowiedzi, doktor Henderson, zmarł w Oxfordzie około 1787 r., nie pozostawiając po sobie innego wspomnienia niż te odpowiednie słowa: wystarczająca i piękna nieśmiertelność).

Piękna nieśmiertelność

Tradycja ustna, z jaką zetknąłem się w Genewie podczas ostatnich lat pierwszej wojny światowej, przekazuje, że Miguel Servet powiedział sędziom,

którzy skazali go na stos: *Będę płonął, ale to jedynie pewien fakt. W wieczności będziemy nadal dyskutowali.*

1933, Adrogu'e

Nasz biedny indywidualizm

Iluzje patriotyzmu nie mają granic. W pierwszym stuleciu naszej ery Plutarch kpił z tych, którzy twierdzili, że księżyc w Atenach jest lepszy niż księżyc w Koryncie; Milton, w wieku XVII, zauważył, że Bóg ma zwyczaj objawiać się najpierw Swoim Anglikom; Fichte, w początkach XIX w., oświadczył, że mieć charakter i być Niemcem to, oczywiście, to samo. U nas roi się od nacjonalistów; powoduje nimi, jak twierdzą, godny pobłażania czy niewinny zamiar podkreślania najlepszych cech argentyńskich. Nie znają jednak Argentyńczyków; w polemice wolą określać ich jako funkcję jakiegoś faktu zewnętrznego; hiszpańskich konkwistadorów (powiedzmy) czy jakiejś wyimaginowanej tradycji „anglosaskiego imperializmu".

Roje nacjonalistów

Argentyńczyk, w odróżnieniu od północnych Amerykanów i niemal wszystkich Europejczyków, nie identyfikuje się z państwem. Można przypisać to okoliczności, że w naszym kraju rządy są zazwyczaj bardzo złe, lub faktowi ogólnemu, że państwo jest jakąś niepojętą abstrakcją [1]. Argentyńczyk jest z pewnością indywidualną jednostką, nie zaś obywatelem. Aforyzmy w rodzaju Heglowskiego „Państwo jest rzeczywistością idei moralnej" wydają mu się niesmacznymi żartami. Wyprodukowane w Hol-

Argentyńczyk i państwo

[1] Państwo jest bezosobowe; Argentyńczyk pojmuje jedynie stosunki osobowe. Dlatego kradzież pieniędzy publicznych nie jest dla niego przestępstwem. Stwierdzam fakt; nie usprawiedliwiam go ani nie uniewinniam.

Niesmaczne żarty

lywood filmy nieznużenie oczekują zachwytu nad przypadkiem człowieka (na ogół dziennikarza), który stara się pozyskać przyjaźń jakiegoś przestępcy, aby oddać go później w ręce policji; Argentyńczyk, dla którego przyjaźń jest namiętnością a policja mafią, czuje, że ten „bohater" jest wyjątkową kanalią. Czuje wraz z Don Kichotem, że „każdy powinien martwić się własnymi grzechami" i że „nie jest dobrze, aby ludzie uczciwi byli katami innych ludzi, gdyż nic im z tego nie przychodzi" (*Don Kichote*, I, XXII). Podejrzewałem nieraz, wobec próżnych symetrii hiszpańskiego stylu, że różnimy się nieuleczalnie od Hiszpanów; te dwie linie z *Don Kichota* wystarczyły, aby przekonać mnie o moim błędzie; są jakby spokojnym i tajemniczym symbolem naszego pokrewieństwa. Potwierdza to głęboko jedna noc z naszej literatury argentyńskiej; ta beznadziejna noc, podczas której sierżant policji wiejskiej krzyknął, że nie dopuści do zbrodni zabicia odważnego człowieka i zaczął walczyć przeciwko swoim żołnierzom u boku dezertera Martina Fierro [2].

Kosmos czy chaos

Świat dla Europejczyka jest kosmosem, w którym każdy odpowiada dokładnie funkcji, jaką pełni; dla Argentyńczyka jest chaosem. Europejczyk i północny Amerykanin sądzą, że książka, która zasłużyła na jakąkolwiek nagrodę, musi być dobra; Argentyńczyk dopuszcza możliwość, że nie jest zła, mimo nagrody. Argentyńczyk nie wierzy na ogół w okoliczności. Może nie znać legendy, według której ludzkość posiada zawsze trzydziestu sześciu sprawiedliwych — *Lamed Wufniks* — którzy nie znają się między sobą, ale którzy tajemnie podtrzymują wszechświat; jeśli ją usłyszy, nie zdziwi go, że ci zasłużeni pozostają w cieniu, anonimowi... Je-

[2] Chodzi tu o epizod z epopei gauchowskiej Jose Hernandeza (1834—1886) *Martin Fierro* i o rozwinięcie tego epizodu przez samego Borgesa w opowiadaniu *Biografia Tadea Isidora Cruz*, drukowanego w „Twórczości" 1971 nr 3 (*przyp. tłum.*).

go ludowym bohaterem jest człowiek samotny, który walczy z grupą bądź to czynnie (Fierro, Moreira, Hormiga Negra [3]), bądź potencjalnie czy w przyszłości (Don Segundo Sombra [4]). Inne literatury nie notują faktów analogicznych. Spójrzmy dla przykładu na dwóch wielkich pisarzy europejskich: Kiplinga i Kafkę. Na pierwszy rzut oka nie mają oni z sobą nic wspólnego, ale tematem u pierwszego jest obrona porządku, jakiegoś porządku (droga w *Kim*, most w *The Bridge-Builders*, rzymski mur w *Puck of Pook's Hill*); u drugiego — nieznośna i tragiczna samotność tego, kto nie posiada miejsca, choćby najskromniejszego, w porządku Wszechświata. Ktoś powie, że cechy, jakie wskazałem, są tylko negatywne czy anarchiczne; i doda, że nie są one zdolne do wyjaśnień natury politycznej. Ośmielam się sugerować coś przeciwnego. Najbardziej palącym z problemów naszej epoki (wskazywanym już z proroczą inteligencją przez zapomnianego niemal Spencera) jest stopniowa ingerencja państwa w czyny jednostki (...).

Kipling i Kafka

Bez nadziei i z tęsknotą myślę o abstrakcyjnej możliwości jakiejś partii, która miałaby pewne podobieństwo z narodem argentyńskim; partii, która obiecałaby nam (powiedzmy) rygorystyczne minimum rządu.

Nacjonalizm pragnie oczarować nas wizją państwa nieskończenie dokuczliwego; utopia ta, po zrealizowaniu jej na ziemi, miałaby tę opatrznościową zaletę, że spowodowałaby powszechne pragnienie, i w końcu zbudowanie, swojej antytezy.

Nieskończenie dokuczliwa utopia

Buenos Aires, 1946 r.

przełożył *Andrzej Sobol-Jurczykowski*

[3] Bohaterowie gauczowskich tradycji argentyńskich (*przyp. tłum.*).

[4] Bohater tytułowy powieści Ricarda Guiraldesa (*przyp. tłum.*).